

## Wspomnienia Pana Bolesława Kabata cz. I.

Urodziłem się w 1931 roku, a więc jak wojna wybuchła w 1939 roku to miałem 8 lat, już ukończyłem I klasę i do drugiej nie poszedłem bo wybuchła wojna. Rozpoczęcie zaczęło się gdzieś koło 10 września jak to wszystko się przewaliło. Niemcy byli już tutaj 8 września.

### O Ojcu

Mój ojciec Władysław Kabat ps. „Kowalski” urodził w 1902 roku. Służbę wojskową rozpoczął w wieku 20 lat. Służył w 16 pułku piechoty początkowo w Kłaju później w Tarnowie. Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej pozostał w wojsku jako podoficer zawodowy, dosłużył się stopnia plutonowego. Z cywila był kowalem, mistrzem kowalskim, a że w wojsku było dużo koni to skończył kurs podkuwacza koni w ośrodku weterynarii gdzieś na wschodzie – Mielec, Stalowa Wola, tam mieli te ośrodki i ojciec tam jeździł na kursy.

Pamiętam wybuch wojny. Ojciec wrócił z kursu ze wschodu, tam gdzie te czołgi naprawiali, położyli się wszyscy spać. W nocy zapukał Kutra Józef. On mieszkał na końcu Bobrownik, to nazywają Jastrzębką. Zapukał w okno i mówi – „Wojna”. Ojciec skoczył, ubrał mundur wojskowy. Nawet się nie żegnał z nami, bo ta wojna wybuchła co chwilę, potem ją odwoływali. Poszedł, a właściwie pojechał do Tarnowa na rowerze. Ojciec był w 1. kompanii I batalionu majora Ryby. Pod Pszczynę nie zdążył. Jak byliśmy na pożegnaniu ojca to wojna trwała chyba dzień. Jak ojciec szedł to wziął z mobilizacji wojsko, już nie było żadnego oficera. Wojsko było na froncie, zostali tylko rezerwiści. Wszystko było strasznie zdenerwowane. Oni już byli w wagonach i kazali im wysiadać, bo wzięli najpierw artylerię. Tak, że on poszedł dwa dni później. Ale to i tak nic nie stracił, bo w Krakowie i tak czekali dwa dni.

Ojciec poszedł to już nie wrócił. Po jakimś czasie, gdy poczta jeszcze nie chodziła, na jarmarku w Tarnowie ktoś przyniósł kartkę od ojca i wywoływał. Usłyszał to Kordela Alojzy i przyniósł. Było napisane tylko - "Jestem w szpitalu, zostałem ranny pod Oświęcimem". To wiedzieliśmy, że był ranny ale żyje.

Nie doszli już pod Pszczynę. Z Krakowa maszerowali na własnych nogach, dotarli w rejon Oświęcimia, czyli między Sołą a Wisłą. Żołnierze mieli dobre uzbrojenie, tylko byli głodni i styrani marszem. Przecież oni szli z Krakowa na piechotę do Oświęcimia.

W taborze na wozach były skrzynie, było na nich napisane „Nie otwierać”. Jeszcze nie dotarło do nich, że już wolno, można było patrzeć. Tam pisało „Urządzenia optyczne”. Rozbili, pierwszy raz to widzieli. Po paru wzięli tam na bok w lesie gdzieś pod Oświęciami i nauczyli. Trzeba było do niego silnego chłopca, do tego karabinu, bo miał dość duży odrzut. We dwóch sami się uczyli i przeszkalali. Było trudne, ale jak mówił – „Był skuteczny” (*mowa o Polskim karabinie przeciw pancernym wz. 35, znanym również jako Ur – JS*). Trzeba było wymierzyć tylko w prowadzącego czołg i koniec. Czołg musiał stanąć. I wtedy po kolei można było bić. Co z tego, jak oni tam mieli coś siedem sztuk na batalion i to wszystko rozbili dwa, żeby uczyć ludzi. To tylko Niemcy skorzystali na tym bo zabrali, ale mało bo bili strasznie, bombardowali tak, że to wszystko fruwało w powietrzu. Niemcy, pierwsze to wystrzelali konie, bo to przeszkadzały, a później walili w tabory.

Jak AK organizowali to ojciec im mówi – „Ludzie to przecież na moich oczach wszystko leciało w powietrze a mieliśmy wszystko, armaty. Wy macie tu parę zardzewiałych karabinów i wy chcecie się wdać w wojnę”?

Spalili coś siedem czołgów, ale artyleria też biła. Było czterech Niemców co ich wzięli do niewoli. Niemcy zdejmowali z palców pierścionki, zegarki i kładli.

Dowódca pyta: - „Co wy robicie?” – „Tak nam mówili i taki mamy rozkaz, żeby dać, nie narażać się, że i tak będziemy rozstrzelani”. – „Weźże to człowieku” – mówi dowódca, nie Ryba, a może. – „Weźcie to i zanieście żonie, bo jak ty możesz pierścionek (oddać). Toś ty nie mąż. Nam to możecie dopiero po śmierci ściągać, bo byśmy sobie nie dali”. Obrazili się, ale zabrali to wszystko. Niemcy byli zaskoczeni (takim łagodnym traktowaniem). Taka propaganda była. Wszystko oddawali: zegarki, pierścionki, obrączki, wszystko oddawali od razu, bez bicia.

Nad Sołą zajęli stanowiska, widział jak rozłożyli karabin maszynowy i tylko „Rany Boskie, Jezus, Maria” i cała obsługa, 6-ciu ludzi nie żyje. Karabin został zataśmowany, strzału nie oddali. Podczołgali się i zaczęli strzelać. Zmienili stanowisko i strzelali dopóki amunicji wystarczyło. Gdy nie było już czym strzelać zapalili papierosa, leżą na stanowisku a tu „Hände hoh! Aufstehen! Niemcy chodzili i zbierali tych co leżeli żywi czy ranni, prowadzili do niewoli. Uszli nie dalej jak 20 - 30 metrów a tu z za Soły, gdzie stały jeszcze nasze wojska nadleciał pocisk artyleryjski. Rąbnął i koniec. Ojciec dostał prawdopodobnie od swoich pociskiem artyleryjskim. On był z tej strony Soły a artyleria już się

wycofała i bili z daleka. Jak ojciec odzyskał przytomność i mógł już rozmawiać, zapytał sanitariusza, który stał nad nim – „Gdzie my jesteśmy? Są tu jeszcze Niemcy?” - bo przypomniał sobie, że szedł do niewoli. Ten sanitariusz pochodził z Wielkiej Wsi i był ojcu za świadka o rentę, bo musiał mieć świadków, że był na wojnie – „Nie, najpierw zbieraliśmy Niemców, ale jeden był urwany w pół.” Ojcu nie zdjęli hełmu, a wszystkim jak Niemcy brali do niewoli to trzeba było zdjąć hełm i rzucić a ojcu nie. Chyba był za wysoki. Dostał przez hełm, zawinął mu się pod brodę. Ściągali mu później przy pomocy młotka. Gdyby nie miał hełmu to by pewno zginął. Dostał tu, za uchem. Krew lunęła, zalał się całą krwią, przytomność stracił. Uderzenie musiało być silne, bo hełm przerznięto. Gdy później przyszła kartka od ojca to mąż nauczycielki, który był oficerem powiedział – „To jest bujda (że ojciec żyje- JS), ja koło jego trupa przeszedłem”.

Był ciężko ranny. Zabrali go do Ołomuńca do szpitala. Z Ołomuńca, po podleczeniu wywieźli go do obozu jenieckiego – Lamsdorf (*Łambinowice, koło Opola - JS*). W bardzo ciężkich warunkach spędził zimę 1939/40. W obozie znajdowało się ponad 4 tysiące jeńców, na których przypadała tylko jedna kuchnia. Ojciec z niedoleczoną raną głowy nie mógł wystać w kolejce po posiłek. Pod jednym kocem w nieogrzewanych barakach przy niedostatecznym wyżywieniu odmroził nogi, głowę. Żeby wyrwać się z tego piekła postanowił zgłosić się do pracy. Niemcy zebrali chętnych, ustawili w szeregu i czekali na przydział. Ojciec wraz z jeszcze jednym towarzyszem trafił do niemieckiego gospodarza o nazwisku Kosek, jak mówił „postury bardzo słabej”. Przyjechał on do obozu i przechodząc przed szeregiem jeńców wskazał ojca i stojącego obok. Tak się złożyło, że obaj mieli zabandażowane głowy. Wsiedli na furmankę i pojechali do domu Koska. Mimo tragicznej sytuacji humor ich nie opuszczał. Ojciec wskazując wychudzonego gospodarza zwraca się do towarzysza – „Jeżeli on tak wygląda, to jak my będziemy u niego wyglądać?”. Nie trafili jednak źle. Po przyjeździe do gospodarstwa Kosek zaprowadził ich do „sztuby” i wskazał elegancko zastrane łóżka, mówiąc – „Tutaj będziecie spać”. Po kolacji poszli spać. Rano gospodarz oprowadza ich po gospodarstwie i mówi co mają robić. Ale ojca zainteresowała szopa, bo zobaczył tam felszmidę, kowadło i młotki. Zaczął to oglądać, Kosek zapytał - „Dlaczego Cię to interesuje?”. - „Bo jestem z zawodu kowalem”. - „To będziesz robił przy koniach”. Ojciec oporządził zwierzęta, oglądał stajnie, patrzył narzędzia uszkodzone, budynki w złym stanie, wozy się rozlatują. W myślach porównuje do najgorszych gospodarstw w

Bobrownikach. Na drugi dzień, gdy oporządził zwierzęta nie poszedł na śniadanie tylko wziął się za wóz. Rozebrał cały, rozpałił ogień, zaczął klepać, naprawiać, składać. Jak naprawił wóz to zawołał gospodarza i pokazał mu. Kosek zadowolony, cenił ojca coraz bardziej. Zabrał go od zwierząt, od tej pory mieli je oporządzać niemieccy studenci, którzy odbywali tutaj praktyki. Ojca zostawił tylko przy kuźni, kuł konie, naprawiał narzędzia. Pewnego razu przyjechali na kontrolę dwaj niemieccy policjanci – „posty”. Mieli za zadanie sprawdzać, czy przydzieleni do pracy jeńcy nie uciekli. Przyjechali konno. Ojciec ogląda te konie i kiwa głową. Niemiec się pyta – „Co się wam nie podoba?” – „U nas w Polskim Wojsku, za tak źle utrzymane konie była by kara”. Niemiec zastanowił się, zszedł z konia i mówi - „Podkuj”. Ojciec podkuł jednego, miał się brać za drugiego ale przychodzi „bauer” i woła ojca na śniadanie. Niemcy musieli poczekać. Po śniadaniu podkuł drugiego. Na wieczór po kolacji „bauer” mówi – „Idź do kuźni, zostawiłeś tam papierosy”. – „Jakie papierosy? Te przydziałowe 10 sztuk to mam przy sobie”. – „Idź, zostawiłeś!” Ojciec poszedł, a tam dwa kartony, eleganckich papierosów. Jak się okazało, „posty” zostawili za dobrze zrobioną robotę, ale nie wolno było gadać. Chodził w mundurze, w którym został wzięty do niewoli. Jako jeńiec, powinien nosić metalową literę „P”, ale zgubił ją i potem już nie nosił. Ułynął prawie rok, Niemcy przygotowywały się do wojny z Rosją, robili miejsce w obozach, chorych zwalniali do domów. Ojcu w tym czasie coś urosło na policzku, krostka. Zdrapał to, a „bauer” zasmarował palcem. Zaczęło piec, spuchła cała twarz. Pojechał z Koskiem do Opola na komisję. Wszedł do jednych drzwi tam uznali go za zdolnego do pracy i napisali kredą na plecach jakieś litery. „Bauer” te litery zmasał i wepchnął ojca w drugie drzwi. Tam napisali ojcu kredą „DU”. „Bauer” zadowolony, zaciera ręce i mówi – „Do domu, do dzieci”. Na opuchliznę dostał jeszcze jakieś zastrzyki i do domu. „bauer” był porządnym człowiekiem, z ojcem rozmawiał po polsku jak nikogo nie było. „bauerka” to była „niemra”. Po roku czasu, we wrześniu przyjechał do domu. Od razu został wciągnięty do działalności konspiracyjnej, matka nie chciała pozwolić ale go jakoś zmusili. Później przyjechał lekarz – Romaniewski. Był lekarzem AK, naprawdę nazywał się Giro i pochodził z placu gdzie teraz jest sklep, to była własność Girów. Zmienił nazwisko na Romaniewski bo w wojsku kończył medycynę. Powiedział ojcu – „Nie powinienes chodzić, nogi, palce przemrożone. To trzeba leczyć, lekarstwa nie ma, siedzieć, moczyć. Nie wolno ci nigdzie chodzić.” Ojciec miał

małą kuźnię, tam się schodzili, z organizacji, czy z poza organizacji AK w takich sprawach, żeby niekoniecznie coś zrobić w kuźni. Prosili go, żeby chociaż czasami pomagał, zrobili go doradcą techniczny. Gdy się jakaś broń zepsuła to przynosili do niego. Niewiele wiem o wypadach jakie robili. Jak mieli jakąś ważniejszą sprawę to mnie ojciec zwalniał od robienia miechem i musiałem iść, nie podśluchiwałem. Później jak już miałem 15 lat to już pozwalał zostać i słuchać. Ojciec nigdy mi nie opowiadał o tym co robili. Pewnego razu przyjechali harcerze, bo jeszcze pół roku przed wojną mieszkaliśmy w Tarnowie. Tam byłem już w małych harcerzach. Potem podrośli i przyjeżdżali do mnie, ale ojciec mi przykazał, żebym się nie angażował. Mieli po 15 lat i więcej, pracowali jako listonosze i zarabiali. Mnie też namawiali, ale raz że ojciec zabronił a drugie, że kawał drogi na piechotę a roweru nie miałem. Zaraz po wojnie ojciec zmarł, miał 54 lata.

Gdy rozmawiali po wojnie to w żaden sposób nie mogli się dogadać. Jak to się wszystko stało? Jak poszedłem do szkoły chemicznej, uczył mnie angielskiego Urbaniak, kapitan Urbaniak. Ojciec poszedł na wywiadówkę i spotkali się, to wrócił dopiero za dwa dni. Matka mówi – „Spotkał kolegów i piją”. Ojciec chciał strasznie wiedzieć co się stało i rozmawiali. Urbaniak był dowódcą kompani przeciwpancernej i rozjechały go czołgi.

### O stryju

Stryj, Jan ps. „Stolarski” mieszkał tam gdzie teraz Bodzioch, w starym domu. On nas przez ten rok przy życiu trzymał. Był młodszy od ojca, był z 1911 roku. Też służył w 16 pułku piechoty w Tarnowie, był plutonowym rezerwy. Pracował w Zakładach Mechanicznych, dawniej to były warsztaty kolejowe. Robił lampy karbidowe, trociniaki, przywoził to wszystko. Gdy wojna się zaczęła poszedł. Mobilizowani zbierali się w Parku Strzeleckim ale już Niemcy podchodzili i musieli się ewakuować. Doszli do Mielca, tam mieli dostać mundury i broń. Nie dostali i wrócił do domu, boso.

Stryjek był zastępcą Kopy (*Franciszek Kopa „Kłusownik” – komendant placówki „Kuna – Klementyna” – JS*). Jak został ranny w Białej (29 lipca 1944 r.- JS), przeprowadził go przez Dunajec Gawlik z Komorowa – krawiec. Szedł wałem pokrzywiony, bo nie mógł iść. Przyszedł tu, to ojciec zaraz zorganizował. Przyszedł Kostrzewa Franek, Kordela Franek i schowali go w kukurydzy między

Bobrownikami i Dobczycami. Michaśka – wysiedlona – jeść mu donosiła, obandażowała, wymyła ranę. A po Wolnego pojechała furmanka Bujaka Staszka do Radłowa. Wolny to był lekarz – folksdeutch. Przywieźli go do Bujaka. – „Tu trzeba chirurga, a ja jestem zwykły, nic tu nie zrobię”. Kostrzewa z pistoletem, trochę na pokaz – „Co, nic nie zrobisz!” Uciszyli go – „Panie doktorze, trzeba robić co się da”. – „Połóżcie go na plecach”. Położyli, a on dostał tu i w skosie. Zaczął ręką mu wywijać, nie dało się, bo bolało. No i pocisk upadł na podłogę. To się udało. Zastrzyk przeciwțężcowy. To mu spakowali pól świni od Bujaka, odwieźli w nocy. Po nocach już Niemcy nie chodzili, bo to już był 44-ty rok. A stryjek posiedział trochę w kukurydzy, bo było ciepło. To był sierpień, koniec lipca początek sierpnia i poszedł do niej, na strychu gdzieś, w Dobczycach. Tam się wyłączył ze wszystkiego, bo to się długo goiło. I już mu dało do myślenia. Kopa nie powinien zwoływać odprawy, wtedy samolot lądował. To była wina Kopy. Tu się kłócili. Zastrzelili tego kapitana, rozmawiałem o tym ze stryjkiem. To był kapitan austriacki (*więcej w „Szkic placówki „Klementyna” - maszynopis – JS*).

Stryjek pojechał po zaświadczenie, że był w AK do Kopy. Zajechaliśmy rowerami, już stryjek był ożeniony tam, tu przyjechał. Było tak, że na to AK patrzyli takim okiem, ale nie zamykali. Jasiek już wtedy nabrał na to takiego szerszego spojrzenia i mówi – „Wszystko ładnie, zastrzeliliśmy tego kapitana ale gdzie jest obrączka, gdzie zegarek, gdzie dokumenty?” – „Wszystko oddałem do powiatu”. Stryjek pojechał do powiatu i mówi im. Jak skoczyli na niego – „Cóż ci po tym?” – „Mój brat został ranny pod Oświęcimiem, to mu wrócili wszystko obrączkę, zegarek kieszonkowy. Trzeba dochować umowy. To na ruskich nadajecie a sami co robicie?” strzelił drzwiami i wyszedł. Złapał rower – „Chodź jedziemy. To złodzieje. Po co my tego chłopca strzelali, komu to było potrzebne.” Chodził i pieron wie co oglądał, może ptaki albo przeprawę oglądał jak uciekać. Bo to przecież już ich gnali. Było by uszło wszystko, to my naciągnęli Englerta na straty. Kosiaty zginął, tak się skończyło. A ten worek co znaleźli z dynamitem, przesyłkę z Dakoty, wzięli Niemcy i mieli. To był ostatni transport broni, już więcej nie przychodziło. Niemcy zabrali wszystko, przy okazji nabrali jeszcze żywności, mąki, pszenicy. Już nie mieli co jeść. Wieczorami już nie wychodzili, bo się bali na każdym kroku. Kwaterował wtedy u nas jakiś dowódca w mundurze, portki miał inne a marynarkę inną. Mundur to miał żółty a spodnie czarne. Już tak zbierali się. Matka dała mu jeść. Świnie Jasiek oprowiał przy nim.

To on u nas jadł a ja chodziłem do kuchni po jego jedzenie, bo ja lubiłem ten zapach. Było może g...o warte ale pachniało ładnie. On nawet pieprz dostarczył do tej świni. Już się nic nie bali.

Wysłuchał i spisał: Jacek Skrabot.